Janina Łagoda

Wyborcza rachunkowość nie budzi wątpliwości. Po jednej stronie zasiedli przedstawiciele ugrupowań politycznych spiętych wspólnym mianownikiem zjednoczonej prawicy, mającej 235 posłów. Przeciwwagą dla nich jest 225 posłów reprezentujących pozostałe komitety wyborcze, w tym 4 niezależnych deputowanych oraz przedstawiciel mniejszości niemieckiej. Podobny układ sił zapanował w senacie. Tak więc zwycięzcy posiedli zdolność do samodzielnego wyłaniania rządu, co już skutecznie wykorzystali. Do pełni szczęścia, tj. decydowania o kształcie ustawy zasadniczej brakuje niewiele. W systemach demokratycznych rzecz to normalna. Problem tkwi jedynie w koncyliacyjnych umiejętnościach i wzajemnym szanowaniu się zwycięzców i pokonanych. Rzecz to trudna, ale bodaj najważniejsza w każdym parlamencie, bo musi także uwzględniać oczekiwania tej części społeczeństwa, która oddała głos na inne ugrupowania, nie posiadające sejmowej reprezentacji, albo z różnych powodów nie trafiła do komisji wyborczych. Odsetek tych ostatnich był pokaźny (około 50% uprawnionych do głosowania). Arogancja w traktowaniu przegranych i obojętnych to niezdrowa plama na rodzimej odmianie demokracji.

Zwycięzcy – przegrani

Atmosfera parlamentu została przesycona wróżącą zło wzajemną niechęcią sejmowego lidera Prawa i Sprawiedliwości (PiS) i niedawno rządzącej koalicji, tj. Platformy Obywatelskiej (PO) oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL).
W odwróconych więc rolach usytuowane zostały animozje, które przybierają coraz bardziej karykaturalne formy. Zadawnione to rozrachunki, głównie o ambicjonalnym podłożu, bo wspólne polityczne fundamenty adwersarzy nie zostały podważone i legitymizacyjnie tkwią w solidarnościowym gruncie, jakby to groteskowo nie brzmiało. Walka więc toczy się w obrębie tych samych ideałów (być może nieco odstaje od owych waśni PSL ze swoim rodowodem). Zawistne spory pomiędzy największymi ugrupowaniami niebezpiecznie zbliżają się do wyczuwanego, lecz jeszcze w pełni nie zidentyfikowanego apogeum. Z tej werbalnej mgławicy wyłania się – i to po obu stronach – wyrazista tendencja do absolutystycznego sprawowania rządów, pudrowana demokratycznymi hasłami o naprawie Rzeczpospolitej. Partyjne ambicje politykierów przysłaniają ich poselskie apostolstwo.
Parlamentarne dyskusje, to wzajemne oskarżenia bez szansy na jakikolwiek konsensus. Strony okopały się wyświechtanymi argumentami permanentnie modyfikowanymi przez partyjne centrale, coś na modłę synoptycznych komunikatów wieszczących burzowo-mroźną pogodę. Do ocieplenia daleko. Należy przypuszczać, że ten dyscyplinujący marketing będzie doskonalony, aby utrzymać w karbach partyjnych aktywistów w imię sprawdzonej maksymy: jedna partia, jeden wódz. Obowiązywać więc musi zasada posiłkowania się znormalizowanymi retorycznymi pociskami odpalanymi przez partyjnych żołnierzy. Nie jest to rozwiązanie ani oryginalne, ani przyjemne.
Przestrzeń między głównymi redutami starają się wypełnić pomniejsze frakcje, a teren niebezpieczny, bo nie chroniący przed szrapnelami. Ryzykują w imię zasady, że także zostali obdarzeni wyborczym zaufaniem i to zobowiązuje. Oczekiwania ich elektoratu są niemałe. Ugrupowania opozycyjne szanują własną tożsamość, co brzmi szlachetnie.

Niedostatek poselskich głosów starają się nadrobić intelektualną roztropnością. Toną jednak w otchłani głównego rytu zawistnych licytacji. Często stają w ideowym rozkroku, co do spożytkowania własnego arsenału. Samoistne inicjatywy skazane są na porażkę, jak chociażby przykładowo ta o zmianie konstytucji lansowana przez jedno z ugrupowań dysponujące raptem chórkiem o 42 niewysublimowanych głosach. Ma to posmak idée fixe. Błądzenie jest ludzką rzeczą i to można wybaczyć, ale jeśli partyjny lider ma kłopoty ze zrozumieniem chociażby algebry głosowań, to pozostają mu jedynie werbalne produkcje z sejmowej estrady, uzupełniane tandetnymi pieśniami nuconymi na dziennikarskich giełdach. Czy poruszy to widownię? Na pewno cieszy się lider PiS, bo to odnośnik zbieżny
z jego wizją i politycznym apetytem, czyhając na stosowną chwilę, aby dokonać zyskownej transakcji.
W parlamencie opozycyjne ławy poselskie – z buchalteryjnego i ostracyzmem podcyfrowanego punktu widzenia – mają niewielkie szanse na pozytywne rozstrzygnięcia jakichkolwiek spraw poza tymi, które wyrastają nad partyjne podziały. A jest ich niewiele. Dotąd mają raczej odcień refleksji historycznej, np. jednogłośna uchwała z okazji rocznicy Powstania Wielkopolskiego. Inne, ważące o perspektywie statusu instytucji państwa i obywateli, jak problem Trybunału Konstytucyjnego, prokuratury, sześciolatków, wieku emerytalnego, polityki medialnej, zagranicznej etc., wymagające społecznego osądu, są arbitralnie rozstrzygane przez sejmową większość i to najczęściej w sprinterskim dystansie wyznaczonym księżycową poświatą. Gruboskórność PiS szokuje. W tej sytuacji bezrefleksyjne przyłączanie się parlamentarnej mniejszości do nocnych pomysłów zwycięskiej partii jest obarczone ryzykiem zatracenia tożsamości i wtłoczenia się w koniunkturalne tzw. naprawcze koleiny parlamentarnego lidera, który ponoć zastał kraj w fatalnym stanie i podjął się jego rewitalizacji. Doprawdy aż trudno uwierzyć w to, że w tak niesprzyjających okolicznościach niedawna opozycyjna partia rosła w siłę, a jej aktywistom powodziło się nieźle, parafrazując znaną sentencję. Okazuje się, że wystarczył krótki czas bycia na kapitańskim mostku, aby kraj przestał być ruiną i rozkwitł. Narracja w stylu science fiction. Nadal jednak pozostał problem: jak ten słowny partyjny sukces przekuć w szczęśliwość narodu, bo chyba wyborcze hasła tej formacji w euforii zwycięstwa nie zostały anulowane. Przeciwnie, są wzbogacane dodatkowymi fascynacjami, ale przy ich wdrażaniu zapomniano o lansowanych szerokich konsultacjach społecznych, o wsłuchiwaniu się w głos ludu i autorytetów, w efekty parlamentarnych komisyjnych uzgodnień etc. Jak dotąd rząd czujący oddech Brukseli uczynił gest wobec sejmowej opozycji, zapraszając jej przedstawicieli na konstruktywne rozmowy do Urzędu Rady Ministrów (sic!), które odbyło się na tle biało czerwonych flag bez unijnej intarsji.
Z wypowiedzi co niektórych uczestników wynikało, że spotkanie miało mniej pragmatyczny, a raczej taktyczno-propagandowy wybieg w obliczu zagranicznego ataku na niektóre decyzje rządzącej partii i związaną z tym perspektywą brukselskiej Canossy.
Wyrocznią w sprawach państwa pozostał lider partyjnego zakonu. Rozrzut jego kompetencji nie zna granic przy zerowej odpowiedzialności za czyny. Wkracza nawet w – z pozoru prozaiczne – kwestie, jak przykładowo decyzja o drukowaniu lub nie, co niektórych ustaw. Górę bierze politykierstwo, a z nim szatkowanie społecznych oczekiwań. Metoda stara jak świat (divide et impera), ale czy musimy z niej aż tak tępo korzystać i to tylko w imię doktrynerskich przywidzeń?
Trwa ogłuszająca krytyka rządów poprzedników, które ponoć doprowadziły Rzeczpospolitą do fatalnego stanu. Jeśli tak, to stało się to na oczach i za przyzwoleniem dzisiejszych triumfatorów, a ubezwłasnowolnionymi nie byli. Może zabrakło im propaństwowej aktywności i

życzliwej krytyki wobec ówczesnego państwa. Pokonani nie pozostają dłużni. Wymiana ciosów trwa w najlepsze.
Z sejmowych ław uczyniono ringowe siedliska. Problem w tym, że potencjalny arbiter został poturbowany, a jego imię – Trybunał Konstytucyjny. Serial poniewierki trwa w najlepsze, bo słuszność musi znaleźć się w narożniku zwycięzcy. Oglądalność tej farsy już dawno przekroczyła granice państwa, wyzwalając naiwne zdziwienie rządzących, że UE nami się interesuje. Podejrzewa się, że jest to polski donos, ale jednocześnie abstrahuje się od niepokojących czynów rządzących, tak jakby brukselscy urzędnicy nie korzystali z mediów i innych źródeł informacji. Staliśmy się członkiem Unii, podpisując stosowne traktaty, nie tylko te o finansowych bonusach, ale także o moralno-prawnych regułach obowiązujących w unijnych państwach. Dzisiaj rządzący zachowują się tak, jakby Polska pozostawała pozą tą strukturą, szermując zawołaniem: my – oni. Konsekwencje tej nonszalancji już odczuwamy. Chwilowo ma odcień moralny, ale z perspektywą wpływu na realną gospodarkę (np. niedawne obniżenie ratingu Polski).
Bijatyce sekunduje prezydent RP, dochowując partyjnej lojalności. Oddanie legitymacji członkowskiej, to zaledwie formalny, populistyczno-fikcyjny zabieg, odległy od faktycznej mentalnej ewolucji. Ale na targowisku politycznych deklaracji irrealizm staje się dla wielu atrakcyjnym towarem. Dotychczasowe czyny prezydenta sprawiają wrażenie jakoby zaprogramował się tylko na jedną kadencję, bo bezwolność wobec partyjnego guru i niekiedy szokujące rozwidlenia w obrębie hasła o swojej niezłomności, będą zapewnie podnoszone w procesie ewentualnej reelekcji. A to źle rokuje. Ostatnia to chwila, aby dostrzec perspektywę swego losu.
Smutkiem napawa to, że sejmowa większość oschle reaguje na lawinowo płynące z różnych stron przychylne podpowiedzi doskonalenia struktur państwa. Trudno bowiem o kraj bez imperatywu pragmatycznego wzmacniania narodowej potęgi. Jest to permanentny proces. Natomiast niecodziennością jest demolowanie w miarę poprawnie funkcjonujących instytucji własnego państwa pod zawołaniem potrzeby ich naprawy. Dominują personalne wycieczki. Wiele zaś rzeczowych propozycji ginie w bitewnych szrankach. Widmo nihilizmu krąży. Warszawska Wiejska w tej edycji zaczyna nas oddalać od oczekiwanej szczęśliwości. Tam dominuje arytmetyka partyjnych głosowań udrapowanych społecznymi problemami, a nie zamysł ich rzetelnego rozwiązywania. Nie zawsze z podniesionej poselskiej garści wysypuje się wzajemne zrozumienie i dobrobyt.
Byłoby wspaniale, gdyby tę rachunkową gimnastykę zespalała życzliwa wspólnota pragnień. U nas to tylko sfera nadziei, także prezentowana w prezydenckich i premierowskich orędziach, które mieszczą się w konwencji przemyśleń partyjnego przełożonego. Ich mnogość w ostatnim czasie stała się kanonem zarządzania państwem. Jest to nadużycie, bo trąci inflacją stylu komunikowania się suwerena z poddanymi. Nie złagodzą tego nawet komunikaty co niektórych polityków o wydłużeniu poselsko - rządowej dniówki poza zdefiniowaną dobę i opowieści o dramatyzmie przepracowania. Fatalnie świadczy to o organizacji pracy i nie przystaje spadkobiercom twórczego dorobku Kopernika, którego stać było na poruszenie w pojedynkę Ziemi w zwyczajnych godzinach pracy.
Dla partyjnych fajterów najważniejsze są interesy guru i instrumentalne eksploatowanie elektoratu, który nie pozostaje bez winy, bo obojętność lub bezgraniczna ufność, to nihilizm ujęty w zawołaniu: jakoś to będzie. Żadne to usprawiedliwienie. Potrzebny jest rozumny dystans do polityków i ich programowych zapowiedzi, ale i do tych, którzy w nonszalanckim geście odżegnują się od opisu wyznaczenia własnej ścieżki dochodzenia do wyznaczonego celu,

potępiając w czambuł tych, co takimi naznaczeniami dysponują. O nich też zadbali wyborcy usadawiając w poselskich ławach i to jako trzecią potęgę. Może warto pokusić się, dla parlamentarnych potrzeb, o synonim pojęcia program, bo i w rzeczywistości tzw. bezprogramowiec szkicuje swoją partyjną wizję, której istotą jest totalna negacja partyjnych programów, popadając w konflikt z samym sobą. Ale paradoksalnie brak programu, to też program. Owo zawołanie uzupełnione zauroczeniem się fanów wokalem idola, stało się wabikiem dla wyborców. Zatem dystans i krytycyzm, to ważne elementy każdego wyboru. Rzecz w tym, aby z tych sprawdzonych narzędzi selekcji społeczeństwo aktywnie korzystało.

Rzeczpospolita w naprawie

Historia odnotowuje, że ilekroć lansujemy hasło o naprawie Rzeczpospolitej, tylekroć pogłębiamy jej problemy. Dowodów sporo, łącznie z nieodległymi wojennymi klęskami i wcześniejszymi zaborami. Później podejmujemy powstańczo-partyzancko-konspiracyjne fantazje zazwyczaj znaczone krwawą klęską, poza wspomnianym zwycięskim Powstaniem Wielkopolskim, ale też ofiarami i politycznymi intrygami usłane. Mimo tych szlachetnych zrywów geograficzny kształt Rzeczpospolitej oraz wolność w określonych parametrach z reguły darują nam obcy
i zaskakują, nie dołączając do tych prezentów instrukcji obsługi owych wrażliwych wyznaczników niepodległości. Może to przesadne skojarzenie, ale rządzący skrzętnie pomijają owe szkolne fakty, aby nie uwłaczać swojej wyimaginowanej ważności. Gorzej, bo usiłują taranować darczyńców, gubiąc zobowiązania. Efekty tego już odczuwamy (np. funeralno-pomnikowa polityka wobec ostatnich oswobodzicieli, ale także i wrześniowych pogromców, imigracyjno-emigracyjne potyczki, niebezpieczne odstępstwa od europejskich wspólnotowych zobowiązań etc.).
Parlamentarna przewaga to zaledwie instrument objawiania woli. Niewiele wskazuje na to, że za umownymi liczbami są skrywani obywatelsko myślący posłowie. Przypadki to nieczęste, a ich rzeczowe racje toną w dyletanckich, niekiedy brukowych oracjach wygłaszanych z sejmowej mównicy. Elektoratowi emitowany jest serial zatargów pomiędzy PiS i PO bez nadziei na świetlaną przyszłość. Są to prymitywne akty odwetu topione w błotnej paplaninie, bez zatroskania o prestiż Rzeczpospolitej i wnikania w tzw. biedaszyby. To trudny problem, a partyjne tuzy są raczej od spraw łatwych i przyjemnych dotacjami wspomaganymi. Miłość (szlachetna caritas) bliźniego w tym wydaniu, to aukcyjny dom animozji, który w werbalnej oprawie ma się znakomicie, gorzej z profitami dla narodu. Elokwencja wybrańców, to nie wyznacznik potęgi państwa. Nie o aktorstwo tutaj idzie. Pokrętne to drogi, ale już przykładowo cenzurowanie Melpomeny przez wicepremiera od kultury czy sekowanie światowego fenomenu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy brzmi groźnie. Chyba nie jest to zapowiedź nowej, unikatowej w świecie cywilizacji w wydaniu rodzimych partyjnych wyrobników. Niewiele też wskazuje, aby atmosfera dnia dzisiejszego uległa poprawie.
Jedni rzekomo naprawiają błędy swoich rywali. Inni zaś protestują, wskazując na niszczenie dotychczasowego dorobku. Tej prawdy zapewne nie zgłębi nawet wzmiankowany, sponiewierany Trybunał, który stał się obiektem wyjątkowej, bo partyjnej troski. Konflikt wokół niego pozwolił odczytać rentgenowski obraz politycznego kręgosłupa, także tej instytucji. Nie jest ona nieskazitelna, ale w roztropnym wymiarze dozuje prawny krytycyzm wobec niektórych sejmowych ustaleń. Zatem merytorycznie go doskonalmy, a nie zakleszczajmy w niemocy. Zrezygnujmy też z partyjnych peror wokół niego. Trudne to zadanie dla polityków- amatorów,

których nie obejmuje żaden rygor edukacyjnego systemu. Uczynią zapewne wiele, aby status Trybunału rozpłynął się w mgławicy, bo zdają sobie sprawę z własnej intelektualnej niewydolności. Niepokojący jest z ich strony brak odpowiedzialności za słowo, zwłaszcza kiedy staje się ciałem.

Środki zaradcze

Mniejszość parlamentarna, ale i ci, którzy postawili na narowistego konia, bądź nie zdecydowali się na elektorski wybór zostając w domu, teraz w trwodze podejmują desperackie kroki. Usiłują powstrzymać rządzących w ich stachanowskim tempie serwowania zmian. Opozycja doświadczając liczebnej niemocy wybrała opatentowaną formę zaznaczenia swojej istotności, wychodząc na ulice. Nic w tym nadzwyczajnego. Do takich reakcji świat już dawno przywykł, także i my mamy protestacyjny uliczny dorobek. Rzecz w tym, aby w bieżących ocenach nie był odczytywany wyłącznie jako inicjatywa przegranych. Socjologiczny przekrój manifestantów jest wielce skomplikowany. Trudno więc godzić się z uproszczonymi propagandowymi komunikatami lansowanymi przez zwycięską partię. Ale też niepokoić winny głosy opozycji o licytowaniu się w ustalaniu jej lidera.
Ważyć winna przede wszystkim charyzma i zalety umysłu potrafiące skutecznie trafiać w niegodziwości rządzących. Perspektywa małostkowych waśni po stronie opozycji, to tylko okazja do zacierania rąk tych o sejmowej nadwadze.
Uliczne sprawdziany firmowane z jednej strony przez pozaparlamentarne ciało – Komitet Obrony Demokracji (KOD), a z drugiej prorządowy ruch, legitymizowany przez zwycięską partię (PiS) i jej lidera, to interesujące zjawisko. W tym swoistym przetargu racji stanęli naprzeciw siebie, nie kryjący zażenowania, m.in. weterani walk z tzw. komunistycznym zniewoleniem, np. H. Wujec, Wł. Frasyniuk, K. Modzelewski, W. Osiatyński, J. Kaczyński, A. Gwiazda i inni.
Odżyły dawne dyskursywne subtelności. Paradoks, a może nadzwyczajna kumulacja błędów popełnianych przez dawną nielegalną opozycję, która w swoich obecnych podziałach na przemian podejmuje się trudu rządzenia państwem, bądź bycia w opozycji wobec kolegów. Dystansują się też od geopolitycznych powojennych uwarunkowań obecnej wolności. Niektórzy zachowują się tak, jakby dzisiejszy status RP był ich wyłączną zasługą. Wiktorią trzeba umieć się dzielić, a nie ją przywłaszczać. Nieczęsty to przymiot. Może w euforii walki zabrakło czasu na refleksję i zgłębienie reguł administrowania państwem, gdzie kompromis to bezwzględny priorytet każdej demokracji. Tej lekcji żadna ze stron nie odrobiła, a ich widome zamysły zmierzają w kontrowersyjnych kierunkach. Chyba też w pełni nie zdają sobie sprawy z tego, że demograficzna substancja wolnej RP, to nie tylko apologeci opozycjonistów z dawnych lat i tych, którzy dzisiaj znaleźli się przy sterach państwa, bo raptem uzyskali niespełna 20% elektorskiego poparcia. Dla racjonalisty byłby to powód głębokiej analizy swojego statusu i oczekiwań narodu, a nie przyzwolenie na rabunkową eksploatację jego intencji.
Nastąpił dysonans w społecznych relacjach. Zachwiał się wektor uczciwości rządzących wobec wyborców. Niepokojące sondażowe wahania poparcia, i to już na początku drogi, winny niepokoić zwycięzców. To pierwsze takie zjawisko po 1990 roku. Euforia zachwytu nad własnym ja, to raczej krótki, bo maksymalnie kilkuletni dystans, zważywszy że wśród ulicznych protestantów sporą część stanowią ci, którzy zaufali dzisiejszym triumfatorom. Nie przewidzieli tego, że głos zdeponowany w urnie od nich się odwróci. Dyktando odnosi pozytywne skutki jedynie w szkolnych ławach, zaś to poselskie z reguły wzbudza emocje, bo ignoruje zasadę kompromisu.

Lekceważenie opozycji, to odlot w samobójcze rewiry, a nie ku demokratycznym standardom. Tak więc dotychczasowe zachowanie sejmowej większości daje asumpt do wzmocnienia jej przeciwników. Szkoda tylko, że w tym kontestującym entuzjazmie słabo słyszalny jest głos lewicy, która zasklepiła się w gabinetowych personalnych deliberacjach, miast rzucić na stos swój partyjny los, trawestując słowa znanej pieśni. Może przywiązali się w nadmiarze do niedorzecznego zawołania, że lewicy mniej wolno. Jeśli to ma być nadal remedium na bezradność tego ruchu, to perspektywa skutecznej obrony interesów wyrobników kroi się mizernie. I tutaj też wkraczają prawa rynku. Podaż nieuczciwości jest niebagatelna, a popyt na ich niwelację mizerny. Nie radzą sobie z tym ani dzisiejsi zwycięzcy, ani opozycjoniści. Triumfalizm udzielił się także strażnikowi konstytucji. Jego deklarację o rzekomo niezłomnym charakterze wyborcy przyjęli z nadzieją bez wnikania w semantyczny zakres owej cechy charakteru. Okazuje się, że ów moralny osobisty przymiot został zarezerwowany dla dochowania wierności tragicznie zmarłemu pryncypałowi i bezkrytycznemu realizowaniu poleceń partyjnego bossa, trwającego w nieustającej żałobie. Partyjnie naznaczony spadkobierca najwyższego urzędu, chyba pomylił niezłomność z ideologicznym oddaniem. Skonfundowało to sporą część elektoratu, ale dopiero po wyborczym akcie. Nadal więc musimy zmagać się z sentencją Jana z Czarnolasu o mądrości i głupocie rodaków. Czy kiedykolwiek ta druga cecha zostanie zamrożona w annałach historii, a to klucz do odzyskania Polski w racjonalnych parametrach.
Sprawą ważną w dniu dzisiejszym jest odnowienie reguł społecznej ugody. Z obydwóch stron padają głosy o potrzebie budowania wspólnoty, ale zawisają w próżni. Przedłużeniem tego propagandowego werbalizmu są uliczne licytacje. Żaden to jednak sposób, ani miejsce dla wzmacniania narodowych więzi, mimo pogodności ich dotychczasowego przebiegu. Tłum bowiem rządzi się własnymi prawami, gdzie radość i tragedia to stali sąsiedzi.
Manifestacje, parlamentarne boje, uwagi unijnych dygnitarzy, brukselskie wątpliwości, medialne rozpamiętywania, to dodatkowe rutynowe formy nacisku o dochowanie przez rządzących reguł gry. Sposób wyjścia z tego klinczu już dawno został zidentyfikowany i wypełnia go hasło: kompromis. Rzecz w tym, że rodaków trapi nieuleczalny indywidualizm niweczący oferowane ustępstwa, bo w naszej konwencji każdy musi mieć rację. To taki odwieczny rodzimy patent. Ten kto znajdzie panaceum na usunięcie owej przypadłości będzie fortunatem.

Perspektywa

Sukces wyborczy jakiejkolwiek formacji jest jej oczywistym dobrem. Nikt tego nie kwestionuje, jak i elektoralnego osiągu prezydenta. Taka to wyborcza księgowość. Trudno dyskutować z niemymi liczbami. One mają uświęconą godność. Problem pojawia się wówczas, kiedy to rachmistrze z politycznymi brykami w garści, zaczynają żonglować liczbami, podkładając pod nie wygodne, próżnością zniewalające, opisowe interpretacje otrzymanego urnowego przyzwolenia.
Powyborczy kierunek grawitacji państwa został apodyktycznie wytyczony, bez możliwości apelacji. Nastała partyjna dyktatura, a to konflikt już dawno nazwany w politycznym słowniku. Jeśli w ten zwycięski pakiet nie zostaną wmontowane bezpieczniki wyłączające autokratyczne zamysły, to nieszczęście gotowe. Fakty pouczają, że triumfujące partie rządzące stawały się w krótkim czasie hermetyczne wobec głosów innych, a to już posmak samobójstwa, czego nikomu nie należy życzyć. Takie symptomy i dzisiaj dostrzegamy. Zastanawia szaleńcze tempo podejmowania decyzji. Nie jest to chyba początek dotąd nowej odmiany rewolucji, której

ostatecznym efektem może być wyłonienie naczelnika państwa na modłę międzywojnia. Ale chyba to nie ten czas i miejsce, a i osobowości z Magdeburga, później z Sulejówka brakuje, zaś Żoliborz (z fr. piękny brzeg) już dawno wchłonęła stolica.

* * *

W decyzjach parlamentarnej większości nie widać koncyliacyjnych odruchów. Dominuje arogancja zwycięskiego obozu. Tego już społeczeństwo doświadczało, w tym i ci, którzy kiedyś temu się przeciwstawiali, a dzisiaj sterując Rzeczpospolitą bezwiednie, albo z premedytacją zapatrzyli się w tamte praktyki. Czyżby historia zatoczyła krąg? Rządzących chyba ogarnął owczy pęd ku przepaści. Parlamentarna Wiejska nie napawa optymizmem, a tam został zdeponowany ogromny ładunek społecznych oczekiwań.
Polityczne rozgrywki prowokują refleksje, mieszczące się w przedziale od aprobaty do negacji. Sejmowy lider z sukcesu czerpie pełnymi garściami. Zapomina o konsekwencjach egoizmu Wprawdzie to moralna kategoria, lecz i polityką może wstrząsnąć. Wszystkie czyny mają granice, a te wyznaczają wyborcy. W projekcji celów ważną rolę wypełniają również pośrednicy usiłujący łączyć uległych im zwolenników z określoną partyjną formacją. Klasyką tego jest Kościół katolicki, którego moc sprawcza w politycznych układankach bywa znacząca, łącznie z ostatnimi wyborczymi desygnacjami. Ale tym razem w krótkim czasie również i kościelne chorągwie zaczęły łopotać w nieśmiałym proteście. To dobry znak dla obydwóch stron. Zwycięzcy miast z szacunkiem i podziwem traktować Okrągły Stół, jako sposób bezkrwawego przejścia do innego systemu, usiłują jego rolę deprecjonować. Podejmują niebezpieczne zabiegi. Jednym z nich jest przykładowo nadawanie nowej numeracji tej samej Rzeczpospolitej, bo ona od 1918 roku, pomijając jej wcześniejszą historię, nieprzerwanie istnieje (może poza okupacyjną nocą, ale i wówczas ponoć funkcjonowało polskie państwo, co prawda w surrealistycznym wymiarze). Trudno bowiem będzie ogarnąć sytuację, kiedy to po każdych wyborach parlamentarnych Najjaśniejsza otrzyma nowy numer. A taka perspektywa się roztacza. Wówczas rodacy, ale i świat stanie w obliczu problemu rozszyfrowania, bodaj na miarę Enigmy, owych zakodowanych niuansów polskiej drogi. Autentycznym byłoby, aby kraj nasz zwyczajnie tytułować Polską bez przymiotników
i cyfr, a oznaczanie dziejowych zakrętów pozostawić solidnym historykom, odpornym na polityczne sugestie. Z pola widzenia nie należy gubić faktów, że w konstrukcji Rzeczpospolitej swój udział prawie zawsze miały inne państwa.
Szybkość uszlachetniania państwa to cenna umiejętność pod warunkiem, że nie rujnuje dotąd wypracowanych i sprawdzonych demokratycznych regulacji. Jeśli ma to schlebiać naszej szczęśliwości, to nadeszła ostatnia pora, aby odpowiedzieć na znane z klasyki pytanie: o co walczymy i dokąd zmierzamy.

Janina Łagoda